

Na dacie 21 grudnia 2012 roku kończy się kalendarz Majów.
Czy rok 2012 to rzeczywiście ostatni rok naszej cywilizacji?

TADEUSZ MESZKO

2012

gniew ojca

**DZIECI SŁOŃCA
DZIECI BOGA**

2 TOMY
W JEDNYM WYDANIU

2012: gniew ojca, tom 1 i 2

Copyright © 2012 by Tadeusz Meszko
All Rights Reserved

ISBN 978-83-935842-0-8

Projekt okładki *Tadeusz Meszko*
Zdjęcie na okładce *SOHO New Views of the Sun 2002*
Korekta *Bogdan Szyma*
Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie II

Wydawca:
Tadeusz Meszko
85-634 Bydgoszcz, ul. Sułkowskiego 17/50
<http://tadmieszko.com>, mail: 2012gniewojca@tadmieszko.com

tom pierwszy

Dzieci Słońca

Prolog	7
Rozdział 1 Apokalipsa? Nie!	17
Rozdział 2 Rozpoczęcie gry	43
Rozdział 3 Misja w terenie	77
Rozdział 4 Słoneczne kaprysy	98
Rozdział 5 Nieoczekiwane zwroty	126
Rozdział 6 Rejs „Carioki”	159
Rozdział 7 Ucieczka przed słońcem	178
Rozdział 8 Zarzucanie sieci	201
Rozdział 9 Słoneczne kłopoty	232
Rozdział 10 Dalsze tropy	296

Rozdział 11	Sezonowy temat	316
Rozdział 12	Słoneczna burza	366
Rozdział 13	Końcowe odliczanie	428

tom drugi

Dzieci Boga

Rozdział 14	W ciszy eteru	493
Rozdział 15	Osiół czy Słoń?	529
Rozdział 16	Słoneczna furia	567
Rozdział 17	Nowe Średniowiecze	707
Rozdział 18	Wizerunki na niebie	746
Rozdział 19	Jeźdźcy Apokalipsy	800
Rozdział 20	Czas zapłaty	875
Rozdział 21	Parada na niebie	908

Tadeusz Mieszko

2012

gniew ojca

tom pierwszy

DZIECI SŁOŃCA

Prolog

AFRYKAŃSKA PIĘKNOŚĆ

Namibia, Park Narodowy Namib-Naukluft, Martwa Dolina Sossusvlei
21 grudnia 2011, 4.40 czasu lokalnego (0340 UTC)

Słońce było jeszcze schowane za widnokrzem. Kontur czerwonej wydmy, wysokiej na ponad trzysta metrów, odcinał się na tle nieskazitelnie ciemnoniebieskiego nieba.

W dolinie popękana ziemia wyznaczała powierzchnię wyschniętego słonego jeziora. Wypełniało się ono wodą jedynie w porze deszczowej, a w tym roku deszcz jeszcze nie spadł. Naokoło jeziora rosły kolczaste wielbłądzie akacje. Były uschnięte, a ich białe konary przywodziły na myśl wzniesione w lamencie ręce.

Dzisiejszego ranka teren wokół wydmy numer czterdzieści pięć był zamknięty dla turystów. Na skraju równiny trwała krzątania. Ekipa filmowa przygotowywała plener do zdjęć filmowych. Równolegle do wydmy ułożono już tory dla kamery na wózku. Obok torów, na niskich statywach stały dwie inne kamery. Dwie następne zawieszono na wielometrowych kra-

nach. Baterię obiektywów, wycelowanych w plan filmowy, miała uzupełnić kamera na pokładzie śmigłowca. Pilot, czekając na rozkaz startu, sprawdzał warunki meteorologiczne. Środek miejsca zdjęć otaczał szereg ekranów odbaskowych. Ich zadaniem było rozproszenie głębokiego cienia, tak by zmniejszyć kontrast do skali możliwej do przeniesienia na taśmę filmową.

Z zaciekawieniem, ale i obawami, przyglądała się tym zabiegom kolorowo ubrana grupa tubylców. Zarabiali oprowadzaniem turystów oraz na sprzedaży pamiątek. Ekipa filmowa nie przewidywała ich udziału w zdjęciach, ale producentka opłacała ich, by nie przeszkadzali w pracy ekipy. Nawet gromada strusi przerwała spacer w poszukiwaniu pożywienia i z ciekawością spoglądała w stronę planu zdjęciowego. W klatkach nerwowo drepwały dwa gepardy.

W odległości stu metrów od planu zdjęciowego inna grupa zajęta była rozładunkiem z naczepy ciężarówki przykrytych brezentem urządzeń. Jedno stało już odkryte na drewnianej palecie.

Wyglądało jak wyrzutnia rakiet. Cylindryczny, aluminiowy rdzeń, owinięty setką zwojów z miedzianych rurek, otaczały cztery lufy o średnicy dwudziestu centymetrów. Wyloty luf rozwierały się na kształt olbrzymich trąb, osiągając średnicę półmetrową. Z podstawy działa wychodziły pęki kabli energetycznych, które rozdzielając się według kolorów, zbiegały się w zabudowanej skrzyni z licznymi wskaźnikami. Usadowione na obrotowej platformie, wyposażone były w system manewrowania w poziomie i pionie znany z konstrukcji dział. Na skrzyni, literami stylizowanymi na lata dwudzieste poprzedniego wieku, namalowany był napis: „Władca chmur. Kaptaj II”.

Daniel Bates, mężczyzna po czterdziestce, słusznego wzrostu, z sylwetką bez śladów otyłości, był ubrany w ocieplaną kurkę džinsową. Ze schowanymi pod pachami dłońmi przyglądał się nieruchomo rozładunkowi. Tylko jego szare oczy nerwowo śledziły wszystkie czynności, czasami odrywając się w kierunku nieba, by ze zmarszczonym czołem zatrzymać się tam na dłużej. Daniel przygotowywał się do wprowadzenia nieładu w ten nieruchomy, usypywany przez setki lat krajobraz. Pracował dla firmy „Ty wybierasz pogodę”, zajmującej się zmianą praw natury. Tam, gdzie była susza sprowadzał deszcz, a miejsca zbyt wilgotne potrafił wysuszyć. Rozpoczęcie zdjęć było przewidziane na szóstą rano, by wstające słońce nie wyskoczyło zbyt wysoko ponad horyzont, psując nastrój rzeźbiony długimi cieniami.

Dzisiaj Bates był podenerwowany. Wraz z ekipą przylecieli na lotnisko Walvis Bay wczoraj wieczorem. Po wylądowaniu musiał dopilnować prze-

ładunku urządzeń z samolotu na wynajęte, stare mercedesy, pamiętające zapewne połowę ubiegłego wieku. Później czekała ich dwugodzinna podróż w nieklimatyzowanych kabinach. Kilka godzin snu w drewnianych domkach pustynnego obozu nie wystarczyło. Długo przed świtem znowu musieli wsiąść do przewiewnych kabin, by szczękając zębami z zimna, dojechać o czasie na plan zdjęciowy. Aż trudno było im uwierzyć, że w ciągu dnia temperatura może przekraczać osiemdziesiąt stopni Celsjusza.

Do Batesa podszedł technik Günter Wildenbaum. Pochodzący z Niemiec bratanek szefa Marvinina, swoimi nieustannymi wątpliwościami od początku irytował Daniela. Starał się być pobłażliwy wobec niego, rozumiejąc, że dla przyzwyczajonego do uporządkowanego rozumienia świata Niemca, praca w niemal magicznej branży może być szokiem. Daniel czasami nie mógł się powstrzymać od kąśliwych komentarzy.

– Daniel – rozpoczął niepewnie Günter, patrząc pod nogi. – Pracuję z wami od niedawna, ale nigdy nie widziałem, żeby ustawiać trzy działa obok siebie. Czy to nie jest ryzykowne?

Bates doskonale wiedział, że to ryzykowne. Postawiono przed nim trudne zadanie, którego wykonanie było sprawą prestiżu firmy. Musiał zaryzykować.

– Sam sobie odpowiedziałeś, Günter – wzruszył ramionami. – Ustaw je dokładnie tak, jak ci powiedziałem. Ja idę pogadać z operatorem o zdjęciach.

Günter wrócił do czekających przy samochodzie pomocników. Nie musiał im powtarzać decyzji, wzruszył jedynie bezradnie ramionami. Słysze-li odpowiedź Batesa i bez protestów przystąpili do rozładunku kolejnego działa.

Bates przeszedł do stanowiska operatora Walida Jubrana. Poznali się sześć lat temu, gdy Bates pracował na Alasce przy projekcie „Alaskan Gas Pipeline”: gazociągu o długości blisko trzech i pół tysiąca kilometrów, mającym połączyć Prudhoe Bay z systemem Chicago. Walid był wtedy studentem szkoły filmowej, szczupłym młodzieńcem i nosił długie włosy, które nieustannie zasłaniały mu wizjer kamery, a w te zimne i błotniste strony przyjechał z ekipą zdjęciową do filmu dokumentalnego „Niewygodna prawda”, realizowanego na zlecenie byłego wiceprezydenta Ala Gore’a. Na zdjęcia ściągnięto również firmę, mającą zapewnić odpowiednie warunki pogodowe. Dzisiaj pracował dla niej Bates, można więc było powiedzieć, że operator był ojcem chrzestnym jego posady. Przez lata spotkali się kilka razy, przy okazji realizacji kolejnych projektów. Walid był także autorem filmu

promocyjnego firmy, który w poetyckiej konwencji pokazywał ich możliwości. Była to zarazem jego praca dyplomowa.

Daniel nie mógł z Walidem porozmawiać wczoraj, gdyż ten już spał. Nic dziwnego – na plan wyjechał wcześniej niż ekipa Batesa. Dopiero teraz mogli się spotkać. Przywitali się wylewnie, obejmując się i klepiąc po plecach. Bates zauważył, że długie włosy operatora są spięte w kucyk, a ciało wyraźnie się zaokrągliło.

Walid spojrzał na „Władców chmur”.

– Widzę, że opracowałeś nowy model – powiedział z niepewną miną.

Bates pokręcił przecząco głową.

– Konstrukcyjnie nie różni się od innych modeli. Ale jest szansa, że w następnym roku wprowadzimy zmiany. Szefowa zatrudniła informatyczkę, o trudnym do zapamiętania nazwisku, nieważne. Mam nadzieję, że przy jej pomocy przetestuję w wirtualnym projekcie kilka zmian i coś z tego wyjdzie.

– Miałem wrażenie, że to scenografia do „Wojny światów” Wellsa – odcchnął z ulgą Walid.

Bates zaśmiał się. Rzeczywiście, z daleka, w cieniu, gdy jedynie metalowe elementy luf błyszczały, kłując oczy błyskami światła niczym kłami, były podobne do potworów czających się do ataku. Daniel odwrócił się w stronę przyjaciela i dodał:

– A co do projektu – niewiele się mylisz. To wersja specjalna dla niedowiarków. Wracamy z pokazu w Emiratach Arabskich. Szejk, który oglądał nas już wcześniej podczas pracy, zasugerował, by dla efektu trochę podrasować urządzenie. Sam wiesz, że bez tych dodatków nie wygląda okazale. A tak wywołuje odpowiednie wrażenie.

– Zatrudniliście do tego scenografa z Hollywood?

– Nie. To projekt według rysunków najmłodszej córki Marvinina i Eleonory – Katji. Dobrze, że mi ją przypomniałeś, muszę kupić dla niej prezent w nagrodę.

Przyjaciel zwrócił uwagę Batesa na tubylca siedzącego na uboczu.

– To pora deszczowa, ale nie pada. Najpierw Johanna wezwała tego szamana, lecz nic nie działo. Wtedy podpowiedziałem, by wezwali ciebie. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

Daniel przyjrzał się szamanowi, wciąż mamroczącemu zaklęcia i przesypującemu piasek. Spotykał się już z miejscowymi czarownikami w różnych częściach świata. Przeważnie traktowali go jak równego sobie, doceniając jego sposoby wywoływania deszczu, z zainteresowaniem wypytując o szczegóły urządzenia. Ale ten był wyjątkowo wredny. Mimo że nie zbli-

żał się do Batesa na mniej niż sto kroków, ten czuł niemal namacalnie jego obecność.

– Co sądzisz o tej reklamie? – zapytał, zmieniając temat, Bates.

– Daj spokój. Nawet ty nakręciłbyś lepszą. Nie wspominając o mnie. Ten reżyser – Fellini – to dupek. Kreuje się na wizjonera, a rozumu ma tyle, co podejrzwał w MTV lub internecie. Nie jest wart nazwiska, które nosi.

– To wnuk tego Felliniego?

– Chyba nie... – Walid wzruszył ramionami.

– To czemu tu pracujesz, a nie robisz następnej fabuły?

– Trzeba z czegoś żyć. A poza tym nigdzie nie mógłbym zużyć tyle taśmy, by sprawdzić nowe efekty. Zdjęcia do reklam dają możliwość przetestowania sztuczek, które później wykorzystuję w fabule.

– Myślałem, że celuloidowa taśma to przeszłość?

– Tak ci się tylko wydaje... Do dzisiaj prawdziwe są słowa, którymi przywitał nas dziekan wydziału operatorskiego – Bates znał tę anegdotę, ale wiedział, że jej opowiedzenie wywołuje radość na twarzy przyjaciela, więc pozwolił mu na kolejną powtórkę. – Nie wiem, jak to wygląda dzisiaj, ale czy robisz zdjęcia na kliszy fotograficznej czy na cyfrowej matrycy, proporcje są podobne. Na świecie robi się obecnie kilkaset miliardów zdjęć. Z czego niemal sto procent jest udanych, przynosząc zadowolenie fotografującym. Dziekan na pierwszym wykładzie powiedział do nas: Wy przyszlście do tej szkoły, by nauczyć się robić prawidłowo zdjęcia i w tym ułamku procentu.

Walid zamilkł, jakby składał hołd wykładowcy. Po chwili wrócił do spraw bieżących.

– A co do zdjęć, to mam prośbę. Mam tylko siedem-osiem minut na wykorzystanie magicznego momentu. Musisz zmieścić się w tym przedziale czasu.

– Pamiętam, że magiczny moment to ulotna chwila. A ty uwielbiasz zapisać ją na wieczność – Daniel kiwnął głową. Wyciągnął rękę na pożegnanie. – Muszę pójść porozmawiać z reżyserem.

– Jasne. Ja też muszę sprawdzić kąty ustawienia kamer i światła. Spotkamy się wieczorem.

Gdy Daniel odszedł na kilka kroków, usłyszał jak Walid woła za nim:

– A co do fabuły: może ty coś wyreżyserujesz? Trochę szwendałeś się po świecie, na pewno masz co opowiadać. Z chęcią będę robił zdjęcia.

Johanna Vanderen, piękna, rudowłosa producentka, odciągnęła Daniela na bok. Miała ponad czterdziestkę, ale wciąż pozowała na dojrzałą dwudzie-

stolatkę. Trochę zadzierała nosa, Bates nie mógł jej jednak odmówić przebojowości i upartości w dążeniu do celu.

– Daniel, wiedz, że niełatwo było zdobyć zezwolenie na kręcenie zdjęć w tym miejscu. Musisz wydusić ze swoich urządzeń wszystko, co jest możliwe. Mamy glejt tylko na ten dzisiejszy poranek – nie ma mowy o powtórnych zdjęciach.

Podszedł do nich reżyser Christian Fellini. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Włosy potargane, jakby specjalnie ich nie czesał po przebudzeniu; druciane okulary na nosie, które ciągle poprawiał. Czy to z powodu chłodu, czy dla efektu, na ramiona miał narzucony czarny, skórzany płaszcz, długi niemal po ziemię.

– Chmury muszą napłynąć z północy – Christian, stojąc z dłońmi przyłożonymi do oczu, przez tak utworzony kadr analizował ujęcie. – Muszą pojawić się błyskawicznie i zakryć całe niebo w czasie nie dłuższym niż osiem sekund. Nie chcę żadnych efektów specjalnych, to ma być naturalne, a nie wygenerowane w komputerze. To musi wstrząsnąć widzom. Niemal naga, samotna dziewczyna umiera z pragnienia. Afrykańska piękność wznosi ramiona ponad głowę, ostatkiem sił błagając o wodę. Modelka Pen-dapali będzie rękoma wykonywać taniec – i to musi się dziać w czasie rzeczywistym. Marzy o tej jedynej, najlepszej wodzie mineralnej. Krople wody żłobią jej ciemne bruzdy na twarzy.

Bates poznał scenariusz już wczoraj. Przestał słuchać „matriksowego” reżysera. I tak uważał, że zleceniodawcy reklamy chcą wcisnąć kolejną kranówkę jako lek na wszelkie zło. Ale to nie jego problem.

Reżyser, wyczerpany wizją, opuścił dłonie i przygryzając zęby, dodał z nostalgią:

– Nie kręcimy, niestety, filmu, a trzydziestosekundową reklamę.

Rozejrzał się po planie, zatrzymując wzrok na ustawionej już baterii dział Batesa i zapytał z niedowierzaniem:

– Czy te pana cudaczne przyrządy są w stanie sprowadzić chmury? Czy to są te tak zwane „Cloudbustery”?

– My wolimy je nazywać „Władcy chmur” – chrząknął urażony Daniel.

– To nie pogromca, którzy walczy. To władca, który panuje nad chmurami. Może je zarówno wytworzyć, jak i rozpędzić.

Fellini z powątpiewaniem spojrział na Batesa, a później z wyrzutem na producentkę Johannę.

– Czy jesteś pewna, że to zadziała?

– Zawsze może pan poprosić szamana – wymruczał Bates, już do siebie, bo wizjoner odszedł bez słowa.

– Jak to widzisz? – zapytała Johanna z troską.
– Reżyserską wizję wody? – zapytał sarkastycznie.
– Och, daj spokój. Christian jest trochę narwany, ale to dobry reżyser. Chodzi mi o twoich „Władców chmur”. Rozchmurz się, ja w nie wierzę, widziałam je przecież w akcji. Pytam o zdjęcia.

– To możliwe. Pytałaś o to samo wczoraj. Przeanalizowałem problem, ustawiłem je w odpowiedni sposób – odpowiedział z irytacją. – Chmury zaczną się tworzyć kilometr, dwa za wydmą. Gdy zbiją się do odpowiedniej wielkości, zmienię ustawienia „Władcy chmur”, przyciągając je nad plan zdjęciowy. Problemem może być synchronizacja. Słyszałem, że w zdjęciach będzie uczestniczył śmigłowiec. Gdybym miał podgląd z jego pokładu, wiedziałbym, kiedy chmury przyciągnąć. Dopiero wtedy dałbym sygnał do rozpoczęcia zdjęć.

– Da się załatwić – odpowiedziała pewnie Johanna. – Uzgodnię szczegóły.

Gdy Bates wrócił do stanowiska, zauważył, że ludzie z jego ekipy zamiast przygotowywać urządzenia do pracy, zajęci byli wyjaśnianiem jego budowy modelce Pendapali Minnie. Wystrojona w całe pęki kolorowych bran-soletek, z umodelowaną fryzurą, musiała ograniczyć ruchy, by nie zburzyć wizerunku. Jednak z ciekawością wskazywała palcem elementy, które ją intrygowały.

Członkowie ekipy po zauważeniu Batesa szybko czmychnęli. Daniel podszedł do modelki. Jej duże, czarne oczy, przyjrzały się mu z zainteresowaniem.

– Podobno wie pan wszystko o tym urządzeniu. Niech mi pan powie, jak to działa?

Bates zignorował pytanie. Nie miał ochoty na rozmowę z nastoletnią „Miss World”. Niedawno inna kobieta, starsza od tej o kilka lat, dała mu do zrozumienia, że nie interesują jej związki ze starszymi mężczyznami – jak to określiła. Wciąż słyszał te beznamietne słowa i spojrzenie, więcej uwagi poświęcające fakturze ścian za nim niż jego napalonej głębie.

Pendapala jednak nie ustępowała. Zirytowało ją milczenie Daniela.

– Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć?

– Bo mam trudne zadanie do wykonania, a mało czasu – odpowiedział z niechęcią.

– Myśli pan, że nie zrozumiem? Że jestem głupia?

– To nie o to chodzi. Po prostu zastanawiam się, jak ci wytłumaczyć coś, czego sam nie rozumiem.

Na szczęście podbiegła do nich asystentka – reżyser czekał, by przekazać modelce ostatnie uwagi aktorskie. Pendapala jednak zignorowała polecenie i natarła na Daniela:

– Może pan uważać, że w czasie konkursu nasze słowa o pragnieniu pokoju na świecie, troska o środowisko, smutek na widok głodujących dzieci to frazesy. Ale nie dla mnie. Uważam, że człowiek w zbyt dużym stopniu ingeruje w środowisko naturalne. A pańskie urządzenia – to już kpina. I jestem zła, że muszę brać udział w zdjęciach, które ingerują w naturę.

Po tej długiej przemowie zamilkła. Opuściła ze wstydem wzrok, dodając z niesmakiem:

– Podpisałam kontrakt nie wiedząc o tym.

Daniel westchnął zakłopotany. Cóż mógł jej wyjaśnić w kilku zdaniach?

– Mogę ten proces kontrolować tylko w pewnym stopniu, ale to wykracza poza naukę – powiedział ugodowo. Opacznie zrozumiała jego słowa i dokończyła wzburzona:

– Jestem pewna, że w każdej chwili, bez problemu, może pan wywołać burzę. Z piorunami!

I odeszła obrażona.

„Co za dzień. A dopiero się zaczął” – pomyślał Bates.

Szaman cierpliwie siedział w kucki przy kępie kolczastego krzewu. Z kamyczków ułożył okrąg, w którego środku usypywał piramidę z piasku. Jego usta wypowiadały zapewne złowieszcze zaklęcia. Gdy zobaczył, że Daniel mu się przygląda, zaczął jeszcze głośniejsze nucić swoje modły.

Olbrzymia, czerwona tarcza słońca drgała w nagrzanym powietrzu tuż nad horyzontem. Niemal było widać, jak z mozołem wyrывa się z oków ziemi.

„Władcy chmur” pracowali wydając ciche pomruki.

Wciąż nie widzieli zmian na niebie. Reżyser przygryzał wargi z niepokojem, czekając na sygnał do rozpoczęcia zdjęć. Modelka, w otoczeniu gepardów, opatulona kocem, klęczała przygotowana do ujęcia. Asystentka czekała przy niej, by tuż przed klapsem zdjąć koc. Pendapala bała się, że za chwilę dostanie gęszej skórki i nie można będzie nakręcić ujęcia. Johanna wydawała się spokojna, zdradzało ją jednak machinalne kręcenie pierścieniem.

Bates śledził obraz nieba przekazywany przez śmigłowiec. Kontrolował także tarczę radaru, ale wiedział, że na nim ślad chmur pojawi się później, nim dostrzeże je obiektywy kamery.

Wreszcie wypatrzył parę wodną, formującą się w chmurkę. Wiedział, że teraz tempo tworzenia chmury wzrośnie. Cieszył się, że zdjęcia wyznaczono o świcie. Wieczorem, po upalnym dniu, w powietrzu nie byłoby żadnych śladów wilgoci. Ponadto o świcie nie było wiatru, który mógłby przeszkodzić w sterowaniu chmurą.

– Przygotujcie się. Zostało najwyżej pięć minut – powiedział rozluźniony, lekkim tonem. Odetchnął z ulgą, do tej pory miał bowiem wątpliwości. Sprawa nie była tak łatwa, jak starał się okazać swoim zachowaniem. Rejon był wyjątkowo suchy. Wierzył jednak, że poranek mu pomoże – krople nocnej rosy parując wzmocnią efekt pracy „Władców chmur”.

Chmurka zbiła się już w pokaźną chmurę, zmieniając kolor z bieli na lekko szary.

Daniel rozejrzał się, szukając szamana. Dostrzegł go na sąsiedniej wydmie. Osłaniając oczy dłonią wypatrywał chmur. „Poczekaj jeszcze chwilę, a padniesz z wrażenia” – pomyślał z satysfakcją. Podkreślił potencjometr mocy, nie mogąc doczekać się chwili tryumfu. Zauważył poruszenie w stadzie strusi, niektóre ptaki zaczęły nerwowo unosić głowy. Po chwili stado zerwało się do biegu. „Pewnie wyczuły zmianę pogody i nie chcą zmoczyć piór” – stwierdził Bates.

Chmura zwiększyła kilkakrotnie rozmiary. Była już ciemnoszara. Daniel dostrzegł wyładowania elektryczne. Było lepiej, niż przypuszczał. Wyładowania potwierdziły, że krople osiągnęły już wielkość umożliwiającą opad deszczu. Czas ściągnąć ją nad plan zdjęciowy. Połączył się z Günterem, czekającym za wydumą na swój udział w akcji.

– Wypuście balony. Zapalniki ustawcie na dwadzieścia sekund.

Po chwili dostrzegł je wznoszące się w kierunku chmury. Balony były wyposażone w pojemniki z jodkiem srebra. Firma rzadko stosowała tę metodę wywoływania deszczu, uznając ją za prymitywną, lecz tym razem Bates zdecydował się ubezpieczyć i sięgnął po tę sprawdzoną.

Balony zniknęły w pokrywie chmur. Po kilku sekundach zobaczył rozblask odpalonych ładunków, rozpylających proszek. Miliony cząstek pyłu powinny zwiększyć tempo kondensacji kropel.

Chmura była gotowa. Bates przestawił dźwignię „Władcy chmur”, by ściągnąć ją nad plan zdjęciowy.

– Uwaga! Za trzydzieści sekund startujcie ze zdjęciami. Chmura dostatecznie napęczniała, by pęknąć nad waszymi głowami. Trzymajcie parasole w pogotowiu.

Bates spojrział na plan filmowy. Dostrzegł, że Walid nie ufając szwenkierowi*, z kamerą na ramieniu sam szuka najlepszego ujęcia. „Cały on” – pomyślał z uśmiechem.

Reżyser wydał komendę do zdjęć.

– Akcja!

I podpierając dłońmi brodę, pochylił się nad monitorami, śledząc rejestrowany przez kamery obraz.

Zza wydmy wyłoniła się czarna chmura, wypełniając w kilka sekund całą dolinę. Daniel przyglądał się jej zdumiony – nie spodziewał się aż takiego rezultatu. Drżącą ręką skręcił potencjometr mocy do zera.

Za późno...

Niebo rozdarły błyskawice, uderzając w uschnięte akacje. Równocześnie nastąpiło oberwanie chmury, wypełniając dolinę strumieniami wody. Eksperyment wymknął się spod kontroli.

Olbrzymie krople spadały gęsto na popękaną ziemię i słone jezioro wypełniło się w minutę.

Tubylcy momentalnie rozpięchli się w popłochu.

Modelka, z włosami przyklejonymi do twarzy, zaczęła się śmiać, jakby chcąc pokazać Batesowi: „A nie mówiłam! Twoje maszyny przynoszą zło!”.

Walid, przerażony, oglądał szczątki jednej z zawieszonych na kranie kamer. Przewrócił ją wiatr.

Tylko reżyser był zadowolony. Johanna z wściekłością szybko utemperowała jego radość:

– Nie kręcimy tu horroru! Co tymi ujęciami chcesz przekazać klientom?

Daniel, sparaliżowany zniszczeniami, wpatrywał się w wydmnę, którą żłobiły potoki wody. Piasek, usypywany przez stulecia, zaczął spływać w dolinę. Wydma utraciła swój urok, falista powierzchnia została rozmyta. Teraz wyglądała jak duża przyzma piasku na budowie.

– No to wywołałem piękną katastrofę – podsumował zniszczenia Daniel.

* – Szwenkier – zwany też drugim operatorem, najbliższy współpracownik operatora filmowego, własnoręcznie obsługujący – pod jego kierownictwem – kamerę.

Rozdział 1

Apokalipsa? Nie!

„PLANETA XXI”

USA, dystrykt Kolumbia, Waszyngton, studio CNN

1 stycznia 2012 roku, 7.55 czasu lokalnego (1255 UTC)

W studiu telewizyjnym trwały przygotowania do wejścia na wizję. Stylistka poprawiała makijaż trzydziestokilkuletniej prezenterce Grace Quickenden, czekającej już na stanowisku. Jej długie jasnoblond włosy opadały w niesfornych lokach na ramiona. Miała wydatne usta i pociągłą twarz, o wyraźnie zarysowanej szczęce. Była ubrana w ciemnoczerwony golf. Grace od lat prowadziła program popularnonaukowy, który wypełniał lukę w ramówce stacji w godzinach najniższej oglądalności. Trudno było taką „zapchajdziurą” zdobyć sławę, ale dzięki temu nie narażała się nikomu i miała duże szanse dotrzeć do emerytury. Co w branży telewizyjnej przekładało się na coraz bliższy wyrok – po czterdziestce będzie musiała przejść na drugą stronę kamery: zostać dostarczycielką tematów dla nowej gwiazdy ekranu.

W dzisiejszym programie miano wykorzystać technikę trójwymiarową. Bała się tego programu. Przez tydzień przechodziła przeszkolenie, ale i tak

się bała. Nie dość, że będzie wymagał łączenia z wieloma krajami na świecie, to dodatkowo te wymogi techniki. Technika była efektowna, ale uciążliwa w realizacji. Na szkoleniu zasady uzyskania wrażenia trójwymiarowości tłumaczyli jej młodzieńcy poniżej dwudziestu lat, ale niewiele z tego zrozumiała. Grace przerażał szereg kamer otaczających ją w półokręgu, zamykając niczym w kloszu. Ze szkolenia zapamiętała, że jej obraz jest rejestrowany przez czterdzieści cztery cyfrowe kamery, a zgromadzone dane obrabiane aż przez dwadzieścia komputerów pracujących na najwyższych obrotach. Trzydzieści pięć kamer, zamontowanych w okręgu, obserwowało każdy jej ruch, grymas twarzy czy ruch niesfornych włosów. Pozostałe śledziły ją z dalszej odległości, pod różnymi kątami, aby pokazać całą postać. Ruch kamer w studio CNN był zsynchronizowany z ruchem kamer w studio gościa – tak że po ich nałożeniu powstawało wrażenie, że przebywają w jednym pomieszczeniu. Aby rozmowa wyglądała wiarygodnie, trzeba było pokazać ją z różnych punktów widzenia: rozmówcę przez ramię Grace, Grace słuchającą gościa, obydwójce stojących obok siebie. Do pilnowania swojej pozycji i zachowania gościa, Grace miała podgląd na monitorze roboczym i prowadząc rozmowę jednocześnie musiała pilnować, by odpowiednio reagować na zachowanie wirtualnego rozmówcy. W czasie pierwszej transmisji CNN, w dniu wyborów prezydenckich w 2008 roku, dziennikarze stali oddaleni od siebie o kilka metrów. Bezpieczna odległość wynikała po części z obawy wypadki, a po części z szybkości obróbki danych. Dzisiaj komputery były szybsze, a technika przetestowana w wielu programach. Nie było już niebieskiej poświaty, takiej jaka otaczała sylwetkę pierwszego wirtualnego gościa – koleżanki z Chicago Jessiki Yellin, a rozmówcy trójwymiarowych konferencji mogli nawet przywitać się uciskiem dłoni. Na szczęście technologia była wciąż droga i w czasie programu zostanie wykorzystana jedynie kilka razy.

– Jak się udała zabawa sylwestrowa? – spytała stylistka, poprawiając makijaż ust Grace, nakładając na ciemną pomadkę jaśniejszą, połyskliwą.

– Nijak – odpowiedziała Grace z błyskiem złości w oczach, nie przestając jednak uśmiechać się w stronę kamery w gotowości do wejścia na antenę. Była zła, że mijają kolejne lata kariery, a ona wciąż musiała prowadzić audycje w tak niedogodnych porach antenowych. Jej koleżanki mogły się wyspać i pokazać wypoczęte na antenie w „prime time”. Po chwili jednak stłumiła emocje i odpowiedziała z lekceważeniem: – Wiesz, że Robert pracuje dla rządu. Tuż przed wyjściem na bal zabrało go dwóch mundurowych.

– O! Nie słyszałam, żeby w ostatnich godzinach wydarzyło się coś ważnego.

Grace nie odpowiedziała. Spojrzała w kierunku pierwszego z gości – Donalda Bassoopa. Był jeszcze bardziej przerażony niż Grace. Sekretarka planu pokazywała mu niebieskie linie wymalowane na podłodze studia, po których miał się poruszać. Zboczenie z wytyczonych tras groziło zdezerowaniem z trójwymiarowymi meblami lub, co gorsze, materializacją w ciele innej osoby. Grace zaśmiała się w duchu, stylistka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Ja też... – z opóźnieniem odpowiedziała na pytanie stylistki. – Ale jak się dowiem, że to był tylko fortel, by wyciągnąć go na jakąś imprezę, to wykopię go z hukiem za drzwi!

– Cisza na planie! Odliczamy.

Grace wyprostowała plecy w oczekiwaniu na sygnał rozpoczęcia emisji. Napięcie sięgało zenitu. W tej części programu zaplanowano pierwsze łącznie z wirtualnym gościem. Relacja miała się rozpocząć od jej ujęcia siedzącej przy stole, w czasie wstępu miała wstać i przejść w wyznaczone miejsce, a w okręgu koło niej miała się pojawić postać rozmówcy. Grace spojrzała na podgląd ze studia w Rzymie: pulchny pięćdziesięciolatek ukradkiem poprawił grzywkę, tak by przesłoniła puste zakola. Później skromnie złożył dłonie na brzuchu i nieruchomo oczekiwał na sygnał do rozpoczęcia rozmowy. Ona nie była tak spokojna.

– Pięć, cztery... – zaczęła odliczać inspicjentka.

Program CNN „Planeta XXI”

8.06 czasu lokalnego (1306 UTC)

GRACE QUICKENDEN

Prezenterka pojawiła się na tle ściany telebimu, na którym wyświetlona była mapa Ziemi. W zaznaczanych miejscach zaplanowanych relacji pojawiały się nazwy miast i twarze dziennikarzy.

– Witam państwa w programie „Planeta XXI”. W ciągu najbliższych godzin odwiedzimy niemal całą kulę ziemską, próbując odpowiedzieć na pytanie, czy rok 2012 będzie rokiem przełomowym. Dzisiejsza, nietypowa pora naszego programu, została tak wybrana, by mogło nas oglądać jak najwięcej ludzi na świecie, gdyż jest to wspólne przedsięwzięcie wielu sieci telewizyjnych. My, na kontynencie amerykańskim, obejrzymy program przy śniadaniu, ale pamiętajmy, że w Europie jest już czas niedzielnej kolacji, a w Azji późnej kolacji.

Bieżący rok można śmiało nazwać rokiem wielkich zmian na mapie politycznej świata. Czekają nas wybory prezydenckie u trzech spośród pię-

ciu członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. Już w maju wybory we Francji, w czerwcu w Rosji, i finał wyborów – listopadowe w USA.

Porozmawiamy o scenariuszach katastrof, będących wyzwaniem dla ludzi odpowiedzialnych za kształtowanie polityki i gospodarki, i dla natury – targanej coraz częstszyimi anomaliami. Pytanie przewodnie programu brzmi bowiem: Czy w tym roku nadejdzie apokalipsa?

Grace wstała i zaczęła iść w kierunku miejsca rozmowy, starając się patrzeć przez cały czas w obiektywy kamer, a jednocześnie pilnując, by zatrzymać się precyzyjnie w wyznaczonym punkcie.

– Czy ten rok, tak bogaty w wydarzenia polityczne, nie stanie się punktem zapalnym do wznowienia działalności terrorystycznej? Czy po ostatnich sukcesach w walce z terroryzmem mamy się jeszcze czego obawiać? Za chwilę porozmawiamy o tym z ekspertem. Dzięki technologii „3D” będziemy go jednak gościć w naszym studio, chociaż znajduje się osiem tysięcy kilometrów od nas – w studio Rai Uno w Rzymie.

Prezenterka zatrzymała się przed kręgiem kamer. Wiedziała, że komputery w tej chwili pracowały na maksymalnych obrotach, by połączyć jej obraz z obrazem gościa.

– Witam Franka Urbancica, byłego koordynatora do walki z terroryzmem w Departamencie Stanu w administracji poprzedniego prezydenta, a obecnie naszego ambasadora na Cyprze.

Z góry spływał szereg świecących okręgów, a w ich wnętrzu materializowała się sylwetka gościa. Długo trwały dyskusje nad sposobem pojawiania się gości, przecież nie będzie wchodził przez drzwi? Wybrano sposób, mający ugruntowane miejsce w kulturze, znany wszystkim na świecie od lat. Postać rozmówcy pojawiła się w stylu teleportacji z filmu „Gwiezdne wrota”.

FRANK C. URBANCIC

– Terroryści nie reprezentują władz państw, na których terenie walczą. Oni nie dążą do tego, by podpisać z nami jakiekolwiek porozumienie o pokoju. Nie możemy doprowadzić do jednej bitwy, która przesądziłaby o zwycięstwie. To jest wojna partyzancka, w której możemy jedynie szczególnie zabezpieczać granice, kontrolować transport, wprowadzać niemożliwe do sfalszowania dokumenty – a wszystko po to, by odciąć źródła finansowania i ograniczyć możliwości ruchu terrorystom. Proszę zauważyć, że większość ataków terrorystycznych miała miejsce w krajach w stanie wojny. Osiemdziesiąt procent ofiar ataków to sami muzułmanie pracujący dla społeczeństwa: policjanci, nauczyciele, dziennikarze.

GRACE QUICKENDEN

– *Thérèse Delpéch* – politolog i była doradczyni premiera Francji *Alaina Jupeé* – mówi, że terroryści wykorzystują frustrację młodych ludzi, by podsuwając im proste i chwytliwe przesłanie zdobywać nowych członków.

FRANK C. URBANCIC

– *To prawda. Zgadzam się z tym w pełni. Pamiętamy o tym, że islamiści – choćby w takich krajach jak Iran, Irak czy Afganistan – są dziećmi komunistów z poprzedniej generacji. Wielka emigracja po wojnach afgańskich czy irackich, żyje dzisiaj zasymilowana w społeczeństwach takich krajów jak Wielka Brytania czy Francja, Maroko czy Filipiny. Lecz emigracja jest nadal podatna na przekonania swych ojców i łatwo ich wciągnąć w walkę z nami.*

GRACE QUICKENDEN

– *Przejdźmy do innego problemu. Gdy w 1942 roku w „Chicago Tribune” wydrukowano artykuł o złamaniu japońskiego szyfru na szczęście nikt nie przekazał tej informacji wrogowi i mogliśmy wygrać wojnę. W dzisiejszych czasach byłoby to niemożliwe – w kilka minut, poprzez Internet i telefony komórkowe, wiedziałby o tym cały świat.*

FRANK C. URBANCIC

– *Trzeba zmienić nasze widzenie terrorystów. Jest pewne, że są ludźmi ogarniętymi złymi pasjami. Ale są to osoby inteligentne. Są dobrze wyszkoleni, posiadają źródła finansowania i mają kontakty. I uczą się, obserwując nasze działania w innych regionach. Wykorzystują telewizję i Internet, by analizować nasze akcje i wprowadzają metody zapobiegania podobnym wypadkom. Tak więc, pomimo zatrzymania czy śmierci wielu przywódców terrorystycznych, stanowią oni nadal realną groźbę. Są to organizacje reagujące szybkimi zmianami na nasze środki zapobiegawcze i musimy nieustannie udoskonalać metody walki z nimi. A to, czego nie osiągnęli poprzez zneutralizowane przez nas ataki terrorystyczne, próbują odzyskać działaniami dezinformującymi czy po prostu kłamstwami, często publikowanymi w Internecie.*

GRACE QUICKENDEN

– *No właśnie. Od kilku lat Pentagon blokuje publikacje wideo na YouTube, sfilmowane w czasie działań bojowych, uważając, że może to narazić żołnierzy, zapominających o bezpieczeństwie, w dążeniu do uchwycenia bardziej dramatycznych wydarzeń. No i ten język – normalny w warunkach bojowych, ale szokujący cywilów.*

FRANK C. URBANCIC

*– To była trudna decyzja, gdyż niełatwo odmówić żołnierzom jedyne-
go kontaktu z krajem, ale wpływ scen brutalnych na młode pokolenie zaniepo-
koił opinię publiczną – i to był argument decydujący.*

W dolnej części ekranu pojawił się czerwony pasek z tekstem, przebiegający tak szybko, że trudno go przeczytać.

GRACE QUICKENDEN

*– Pozwoli pan, że wtrącę gorącą informację, którą od kilku minut mogą
państwo przeczytać na pasku: wirus „Orion” atakuje komputery w kolejnych
krajach. Rozprzestrzenia się wraz ze strefą czasową, gdy po noworocznej za-
bawie budzą się następne rejony globu. Na szczęście w większości świata
jest to dzień wolny od pracy, więc infekcja wirusowa dotyka głównie pry-
watnych użytkowników, pragnących wymienić się życzeniami noworoczny-
mi, czy pasjonatów gier.*

FRANK C. URBANCIC

*– Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że to, o czym teraz mówimy, jest
szczytem góry lodowej. Weźmy choćby pod uwagę system GPS, wykorzysta-
ny po raz pierwszy przez nasze wojska w wojnie w Zatoce. Terrorysty mogą
wykorzystać ten, jak i inne komercyjne systemy. Proszę zwrócić uwagę, że
system namierzania celów ataków z Nowej Karoliny, jest dostępny w ofer-
cie handlowej. W Internecie można znaleźć wzór gazu użytego w zamachu
w tokijskim metrze – sarinu. Rząd USA odtajnił także dokumenty AEC i DOE,
a w nich można znaleźć informację jak zbudować bombę nuklearną. A jeże-
li nie chce pani szperać, mogę podać numer telefonu, gdzie za trzysta dola-
rów prześlą instrukcję. Ale nie trzeba sięgać po skrajne przykłady, wystarczy
uświadomić sobie, że w Internecie odnajdziemy także informacje o liniach
przesyłających energię elektryczną czy wodę. To jakby zaproszenie do za-
atakowania tych celów.*

GRACE QUICKENDEN

– Dziękuję panu za wizytę w naszym studio.

Ambasador z ulgą skinął głową. Grace skierowała się w stronę innej kamery, a w tle okręgi teleportacyjne spływały na ziemię i po chwili unio-
sły w górę, zabierając wirtualnego rozmówcę.